

Podomka Łwa

12 sierpnia 2011

Całe życie walczymy jak lwy, orły czy sępy, w końcu padamy jak... muchy.

Budujemy autostrady. Stadiony. Nowoczesne domy. Niemalże każde miasto stawia sobie za szczyt współczesności zbudowanie tzw. akwaparku. Gdzieś jednak poza tą „estetyczną” rzeczywistością jest inny świat. Świat starych kamienic. Budowanych jeszcze za czasów „Wilusia” lub Hitlera czy wczesnej młodości Stalina. W Polsce zwany okresem międzywojennym. Wysokie kamiennice z porządnej czerwonej cegły, jaką dzisiaj już nikt nie produkuje, mimo „szczerej” reklamy i usilnego „picu” tzw. budowlańców, wyniesionego z niby szanowanej wyższej uczelni.

Dachy mimo często stuletniej wagi, spełniają nadal swoje główne zadanie. Nie zrywa żadna wichura czy nawałnica. No, może czasem gdzieś coś przecieknie. Stropy owych kamienic nie są żelbetonowe, raczej drewniane, okryte deską i siatkami rabbita. Cienki tynk nadal chętnie się przytula do warstwy zwykłej trzciny. Drewniane podłogi, które pastowaliśmy szczotkami od butów kreśląc różne wzory. Nie ma w nich łazienek a ubikacja znajduje się na każdym półpiętrze, po jednej na dwie rodziny. I tak od lat. Te przedwojenne kamienice skrywają przepiękne tajemnice. Jeśli komuś uda się kiedyś przejść obok tych skarbnic przeszłości, niech się zatrzyma i posłucha jak w nich rodziła się nasza przyszłość i mądrość.

Na kilka miesięcy przed śmiercią, Mama poprosiła abym przyjechał i odwiedził. Chciała mi coś pilnego powiedzieć. Usiedliśmy w małej kuchni. Ostatnie czwarte piętro. Poddasze. Dzięki temu kuchnia miała małą wnękę, metr na metr, gdzie zawsze było chłodno. Ot taka mała spiżarnia. Przy drzwiach piec, na który od zawsze mówiliśmy „kuchnia”. Pamiętam, że kiedyś była z kafli. Miała płytę oraz piekarnik do którego

zimą wkładało się przemoczone buty czy rękawicę. Później „miasto” zamieniło na „angielkę”. To jednak nie było to samo. Obok pokój z dobrym kaflowym piecem. Pamiętasz jak Mama zimą ogrzewała pierzynę? Takiego ciepła już nigdy nie spotkałem.

Zrobiła kawę, przygotowała skromny poczęstunek. Ciasto kupione gdzieś w małym sklepie.

– Pepi – od lat tak się do mnie zwracała. Nie pamiętam od kiedy i dlaczego. – Niedługo umrę.

Zaskoczony milczałem, słuchałem. Czułem się niezręcznie.

– Chcę abyś wiedział co gdzie jest i czego sobie życzę. Tu pod tą szafką – wskazała starą komodę, wielokrotnie malowaną farbą olejną – jest reklamówka. Tam są moje rzeczy, które zabiorę do szpitala. Czysta podomka, majtki, biustonosz, pantofle, okulary, książka i parę kosmetyków. Jest też czarna sukienka, rajstopy i buty. W te rzeczy chciałabym, aby ubrano mnie do trumny. Są czyste.

– Tu – położyła na stoliku lekko zużytą czerwoną kosmetyczkę – będą zawsze dokumenty. Legitymacja emeryta, karta ZUS, dowód osobisty. To zabiorę z sobą. Dokumenty lekarskie także będą w tym miejscu.

Spuściłem głowę. Nie wiedziałem co powiedzieć.

– Jeszcze Mama pożyję, nie ma sensu rozmawiać – rzekłem niepewnie.

– Wiem, lecz trzeba być przygotowanym na wszystko. Nie chcę robić wam kłopotu, napij się.

Czułem się nieswoją, niepewnie. Nie potrafiłem dać sobie rady z tym. Chciałem uciec. Do siebie, daleko stąd.

Mama zawsze robiła kawę na swój sposób. Parzyła w emaliowanym czajniku, potem rozlewała do bardzo cienkich, małych filiżanek. Nie wiem skąd miała starą miśnieńską porcelanę.

Smak był zawsze fascynujący. Nigdy potem już nie piłem tak wspaniałej kawy. Nawet w Petrze czy w Turcji.

Porozmawialiśmy trochę o różnych sprawach i umówiliśmy się na następne spotkanie. Za miesiąc.

Ostatni raz spotkałem Mamę w maju. Była w szpitalu. Rak dwunastnicy. Efekt wojny, Żabikowa i wywózki do Aachen. Pracy u niemieckiego Bauera. Dziewczynki 13-letniej. Później też nie było lepiej. Bierut, wysyłka przymusowa do budowy Nowej Huty, gdzie pracowała jak wiele kobiet za podłe jedzenie i bieliznę osobistą. Czas Gomułki nie pomógł jej. To już pamiętasz. Codziennieścią był smalec lub zwykła margaryna (pamiętasz jej opakowanie?), podpłomyki, czasem dżem i ser żółty. Masło i plasterki szynki na święto, Bożego Narodzenia. Kiełbasa i jako na Wielkanoc.

Leżała sama w dużej sali. Jeszcze mogła wstać. Rozmawialiśmy i dodawaliśmy sobie nawzajem otuchy. Ona u końca swej drogi a ja zagubiony stałem na bezdrożach sensu życia. Umówiliśmy się na spotkanie, miał to być dzień moich imienin. Na tydzień przed, szpital w Cieplicach zawiadomił mnie o złym stanie zdrowia Mamy. Pojechałem. Lekarka krótko i rzetelnie opowiedziała mi co się stało. Otworzyła brzuch i... nie potrafiła rozpoznać żadnego z wewnętrznych narządów. Wszędzie złoگی. Zaszyła z powrotem. Co mogła zrobić? Nic. Podaje tylko silne leki przeciwbólowe. Domyśliłem się, dożyłnie morfina. Poprosiłem abym mógł wejść do sali.

Mama leżała podłączona do różnych urządzeń. Jedno z nich wydawało rytmiczny dźwięk.

Usiadłem obok. Wziąłem za rękę. Patrzyłem. Miała zamknięte oczy. Minęło kilkanaście minut, próbowałem z nią rozmawiać w myślach. Zacząłem coś mówić do niej. O nadziei, że wyzdrowieje, w końcu za dwa dni mam imieniny a przecież umówiliśmy się. Nagle aparat wydający równe dźwięki, przyspieszył. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że zamiast liczby 60 nagle pokazują się liczby 90, 95, 100 i 110.

Przestraszyłem się. Dotarło do mnie, że Mama mnie słyszy. Czy to możliwe? Spojrzałem w kierunku lekarki. Nic. Coś jeszcze mówiłem, ucałowałem w czoło i po kilku minutach wyszedłem. Aparat wskazywał około 90. Pożegnałem się z lekarką, podziękowałem.

Następnego dnia nadszedł telegram. O czwartej nad ranem.

Zmarła dzień wcześniej niż to uzgodniliśmy.

Zapadła cisza. Spojrzałem na przyjaciela. Patrzył przez okno samolotu gdzieś w dał. Może szukał jej?

– Pit – przerwałem – masz ochotę na kawę?

Wrócił z dalekiej podróży.

– Tak – westchnął.

Poszedłem do kuchni. Po kilku minutach wróciłem z ... emaliowanym czajnikiem i małą zastawą. Spojrzałem zdumionym wzrokiem.

– Skąd to masz?

– Na specjalną okazję. Na tydzień przed śmiercią dostałem paczkę a w niej to i kilka innych drobiazgów. Mogę to tobie dać.

Patrzył z niedowierzaniem.

– Nie, widać Mama miała jakiś ważny powód, że tobie to wysłała. To było dla ciebie. Tak chciała.

Minęło kilka minut.

– Wiesz Paul – patrzył przez okno na mijane chmury pod nami – kiedy patrzę na tych bogatych „flusiów”, pustych celebrytów, politycznych krętaczy, na pokręconych intelektualnie bogaczy, którzy płacą psie pieniądze swoim pracownikom, oszukują swoich kontrahentów, klientów aby móc tylko powiększyć swój majątek,

kupić jeszcze jeden jacht, samochód, obdarować głupim kamieniem swoją kochankę. Gdy widzę cwanych zarozumiałych urzędników, jakiś starostów, prezesów partii, prezydentów miast budujących swoje imperia materialne zamiast szanować swoich obywateli – przypomina mi się wtedy ... owa maminy podomka. Jasna, z kretonu, w wyblakłe duże, czerwone kwiaty.

Spojrzał na mnie.

– Przecież oni to w końcu z sobą zabiorą. Podomkę. Nic więcej. Żadnej rzeczy, żadnej myśli. Żadnego pomnika, książeczki czekowej, sztandarów. Tylko to jedno.

Myślę, także, że wielu z tych „inaczej skonstruowanych umysłowo” nie należy im się owa „podomka”. Winni być złożeni do grobu nago, może nawet zedrzeć z nich skórę. Po prostu nie zasługują na szacunek nawet po śmierci.

– A komu „podomka” – spytałem cicho.

– Komu? Tym, którzy w cichości dnia powszechnego, z dala od powszechnego blasku usilnie pracują prowadząc uczciwe życie. Pomagają innym chociaż nikt oto nie prosi. Uczą swoje latorośle jak naprawdę żyć, bez kłamstw, hipokryzji, cwaniactwa. I wierzą, że każdy dzień zajaśniał dla nich jako ostatni...

A owa kamienica? Nadal stoi na uboczu małego miasteczka. Ktoś wymienił stare drewniane drzwi wejściowe na plastikowe. Kto tam teraz mieszka? Może są wśród nich ludzie, którzy nawet nie wiedząc bezwiednie przędą powoli cienką nić, z której powstanie któregoś dnia „podomka”.... Ich własna, z jasnego materiału, może tylko będą na nich inne kwiaty. Takiego koloru jak żyli. Pogodna jak sen i uczciwa.

Omne crederem tibi diluxisse supremum – Wierz, że każdy dzień zajaśniał dla ciebie jako ostatni. Sentencja łacińska.

Autor: Peter Lomax

Źródło: [iThink](#)